

Podmuch wiatru zagnał pierwsze spadające liście tego roku na drogę. Jesień w Tryncie nadciągała szybko. Żółte listowie odtańczyło krótki taniec nad kamienistą drogą, zanim upadło.

Zza zakrętu poniósł się donośny okrzyk, do którego prędko dołączały kolejne. Niektóre przepełnione agresją, niektóre strachem. Nieliczne okrzyki rozbrzmiewały bólem wśród wzgórz.

Na drogę wypadły pierwsze ludzkie postaci, miażdżąc pod ciężkim obuwiem liście leżące na ścieżce. Ich oręż i zbroje świeciły jasno w zachodzącym słońcu. Zbiegali w dół ścieżki, pędząc na złamanie karku. Krasnoludzki tarczownik z ogromnym pawężem był jedną z trzech osób zamykających pochód. Biegli odwróceni tyłem, tarasując ścieżkę tarczami. Blokując ją przed ludźmi z błękitnymi znakami na ciałach. W pewnym momencie krasnolud z długą brodą odwrócił się by sprawdzić czy mają czystą drogę. Zakrzywiony miecz ciął jego ramię, rzucając go na ziemię.

-Szlag! Miori! Przód stać, mamy rannego. Więcej tarcz na tyły!

Callan, gdy tylko usłyszał głos Ingrein zawrócił. Nie miał już swojej tarczy, jeden z samnijczyków skorzystał z okazji, gdy leżał ranny i ją ukradł. Mimo to cofnął się na tyły, gotów walczyć wraz ze strażą tylną. Przepuścił przodem Brynjolfa i Ardena biegnących z tarczami, zaś sam ustawił się na flance szeregu tarczowników.

Nie wyglądało to dobrze. Miori znalazł się za linią wroga, którzy zdążyli już utworzyć półkole wokół oddziału Ingrein, odcinając ich od krasnoluda. Samnijczycy próbowali zejść ich od boków. Nie mieli wiele czasu, musieli się wycofać do kontr-fortu.

-Ingrein! Mogę dać wam jakieś pięć sekund żeby dotrzeć do Mioriego.

Callan starał się przekrzyczeć bitewny zgiełk.

-No to dawaj, teraz!

Paladyn skinął głową. Zdał sobie sprawę, że czarnowłosa Tryntyjka nie zobaczy tego gestu, więc odpowiedział.

-Trzymajcie zakładkę, a nic wam nie zrobią. Yehir!

Wraz z wymówieniem słowa mocy Callan poczuł jak ulatują z niego siły. Obdarzył ich krótką niewrażliwością na ciosy, pobłogosławioną przez Modwita. Widział jak ruszają do przodu, zwartym szeregiem. Widział jak siekają samnijczyków i wojowników Qa. Widział jak Inga, skąd ona się tu wzięła, podbiega do krasnoluda. Widział jak drobna Inga zaciąga potężnego krasnoluda w tył, chroniona przez oddział tarczowników. Czuł jak przyjmują na siebie uderzenia, gdy błogosławieństwo Modwita straciło swą moc. Czuł jak traci równowagę i leci w tył.

Leci? Upadał. Zużył zbyt dużo mocy, zbyt często dzisiaj prosił swego pana o łaskę. Poczł jak kamienie leżące na drodze wbijają się w jego plecy

* * *

-Wstawaj, psiakrew!

Vela pomogła mu się podnieść. Nie chciała kolejnych rannych ani opóźnień w wycofywaniu się. Źle się czuła w tłoku, na Zapołudniu była tylko ona i Vekro, jej jeleń. Oraz okazjonalnie inni gwiazdni łucznicy. Świst miecza przywrócił ją do rzeczywistości. Zakłęła i strzeliła w stronę armii wroga, zmniejszając ich liczebność.

-Dzięki – wymamrotał chwiejnie Callan. Paladyn ewidentnie był wyczerpany, nie mógł ustać na nogach, więc Vela uznała, że pomoże mu iść do przodu i rozmawiać z nim, żeby przypadkiem nie został z tyłu.

Mozolnie przebijali się do przodu, w stronę kontrfortu. Po chwili przód stwierdził, że to najlepszy pomysł, żeby wspiać się na niemal pionowe zbocze zamiast obchodzić górę kolejne 40 minut. Było strasznie stromo. Słońce zdążyło już zejść pozostawiając ich w mroku zaś podejście trwało długo. Wreszcie wdrapali się na górę, okazało się, że trafili w dobre miejsce, trzeba było tylko przejść przez fosę i to w miarę szybko, bo Qa deptali im po piętach. Gdy wreszcie dotarli na drugą

stronę fosy, czekała na nich kapłanka Widy, która miała ze sobą medykamenty i informację, że pani Borgh Du czeka w Karczmie. Rozpalono ogień, wystawiono wartowników. Rannym w drodze udzielono pomocy. Obwarowano kontr fort. Wkrótce Vela ujrzała dziesiątki innych ognisk po drugiej stronie fosy, tam, gdzie było obozowisko zniechęconych przez nią Qa.

-Dużo ich. – mruknęła. Ktoś tam potwierdził, potem Ingrein stworzyła podział na grupy, żeby część pilnowała, a część miała czas odpocząć.

Nie musieli czekać długo.

Vela była w pierwszej grupie. Odłożyła łuk i strzały – w ciemności i tłoku mogła łatwo trafić swojego. Pożyczyła miecz i tarczę, by pomóc w szeregu, czego nigdy nie ćwiczyła. Wroga armia powoli przechodziła przez fosę, by wysypać się na naszym brzegu. I zaatakować.

-Tarcze na zakładkę! – wrzasnął Arden. Vela nie wiedziała, o co chodzi, więc jej szybko wyjaśnili. A potem nie było czasu na rozmowy. Wyłączało się myślenie w trakcie walki, widoku tyle krwi, tyle rozciętych ciał. Cios, blokada, pchnięcie...i tak w kółko. Po dłuższym czasie Qa odpuścili. Rannych było dużo, trzeba było ich zabrać do lazaretu, niekiedy wręcz zaciągnąć. Inga i Ulf zajmowali się leczeniem, jucha zabarwiła ich ręce na lśniący szkarłat. Co i rusz słychać było ich instrukcje dla rannych.

-Teraz będzie bolało, dajcie mu coś do zagryzienia. Szybko! –komenderowała czarownica. Następnie zszyla ranę i oblała ją eliksirem.

-Następny!

I tak to szło. Vela miała po raz setny w ciągu ostatnich dni rozciętą rękę. Dziwiła się, że wciąż może strzelać. Potem była zmiana i mogła odpocząć. Nie wiedziała, co się dzieje z innymi. Położyła się na kocu, jak najdalej od wszystkich i rozmyślała. Ciekawe, jak teraz sobie radzi Leth Caer?

* * *

Szyk rozpadł się po raz kolejny. Pierwsi odziani w skórę wojownicy przeskoczyli nad rannymi obrońcami kontrfortu. Callan zamachnął się ostrzem topora na nadbiegającego samnijczyka. Drugą ręką dzierżąc miecz zablokował nadlatujący cios szabli. Zebrał powietrze w płucach by wrzasnąć na ludzi.

-Wszyscy do szyku! Zrzucić ich do fosy!

Przy jego boku zaraz zjawili się jego towarzysze. Prawą flankę osłonił postarzały Ludmir, czy też raczej Owizor Rożenek, trzymający na dystans każdego wroga. Przed ciosami na lewym boku osłoniła go czerwono-czarna tarcza, dzierzona przez Brynjolfa. W końcu utworzyli sprawną gromadę i mogli odeprzeć przeciwnika. Poczeli metodycznie spychać Qa i ich samnijskich sojuszników w stronę fosy dzielącej fort od tryntjskich lasów. Niektórzy umarli zanim przegoniono ich na urwisko. Inni spadli z przeraźliwym wrzaskiem. Nieliczni zdołali się wycofać, ostrzeliwani i atakowani przez obrońców kontrfortu.

Gdy już dobili wszelkich rannych najeźdźców rzucili się na pomoc rannym po swojej stronie. Rozliczne cięcia, zmiażdżone kości. Złamania otwarte i zamknięte, uszkodzone barki. Krew lśniaca w blasku ognia. Widok jak nie z tego świata. Wystawili nielicznych wartowników i poczeli przenosić rannych przez wejście do tymczasowego lazaretu.

* * *

Do lazaretu wpadli ludzie niosąc rannych. Odpoczynek dobiegł końca, musieli wrócić do walki. Sytuacja na kontrforcie pogarszała się. Pierwszą ranę krytyczną dostał Iselith, gdy wroga armia zrobiła im nalot od tyłu. Nie mógł nic zrobić, musiał leżeć. Inni czasem przynosili wieści do lazaretu, ale o czym? Że wciąż jest krwawa jatka? Że ilość ciał jest tak duża, że nie ma co z nimi zrobić?

Wkrótce potem Vela straciła rachubę czasu. Wciąż i wciąż walka, nikt już nie dbał o grupy, każda sprawna osoba musiała pomóc. A potem nadeszła delegacja od Qua. Zażądali kapitulacji. Wyśmiano ich. I znów walka. A potem kolejna delegacja, która oznajmiła im w dość oględny sposób, że wszyscy zginą, jeżeli się nie poddadzą.

Wówczas kapłani obecni na forcie wpadli na pomysł. Desperacki pomysł. Kilku z kapłanów postanowiło zabrać część żywego złota, materiału który rozkazali im zdobyć ich bogowie i poddać się. Lecz Qa wykryli podstęp. Kapłanom nie udało się ich oszukać i przekraść. Zostali srogo ukarani. Ranni i rzućni do fosy, w ostatniej chwili z niej wyciągnięci. Znaleźli się w krytycznym stanie w lazarecie. Wroga armia w odwecie za próbę oszustwaatakowała długo i nieustannie. W końcu przyszła ostatnia delegacja. Wciąż było kilka godzin do świtu, niebo szarzało powoli. Bardzo powoli.

-Jeżeli się nie poddacie, wszyscy zginiecie. Wiecie o tym.

Słowa Qa wciąż odbijały się w jej umyśle. Delegacja odeszła niedawno. Vela patrzyła w las. Obok niej stał Callan, opierając się o drzewo. Niedaleko był jeszcze Likop. I kilku innych. Świadomość, że śmierć nadchodzi, działa oczyszczając. Wszyscy zapominają, kim byli, jakie zwady mieli między sobą, nie dzieli ich nic, a łączy śmiertelność. Nieważne, czy są elfami zdolnymi przeżyć jeszcze 53 loa, czy ludźmi w połowie swojego życia, czy noworodkami albo starcami. Wszyscy umrą. A ta grupa, w której się znaleźli tutaj, już tego świtu. Nie ujrzą poranka, nie przeżyją kolejnego dnia. Takie głosy dało się słyszeć w tłumie. Niektórzy się żegnali. Inni żartowali, jakby chcąc odsunąć od siebie mroczne myśli.

-Wiesz, Vela, bardzo cię polubiłem. – przerwał jej zamyślenie Callan.

-Też cię polubiłam, jak na człowieka. – odpowiedziała. To była prawda, mimo automatycznego odsuwania uczuć na bok, tego człowieka zdążyła polubić. Tak jak Mjoriego, krytycznie rannego, jak Likopa, jak Gezwoka, jak nawet czasem irytującą Ingrein czy Ingę. Albo Magmusa. Lub Eriego, czy nawet Lilith. A oni wszyscy mieli tutaj umrzeć. Callan uśmiechnął się lekko. Vela odwróciła się do Likopa.

-Miło było walczyć u twojego boku.

-Nie przyjąłbym na ciebie zlecenia. – odparł z uśmiechem. Trochę ją zaskoczył.

-Jesteś płatnym zabójcą? – zapytała, unosząc brwi. Nie była to ostatnia rzecz, która miała ją zaskoczyć tej nocy. Wzruszył ramionami.

-I tak wszyscy umrzemy. – stwierdził, po czym dodał, widząc jej minę. – No co, w moim fachu to komplement.

Rozmawiała tak z kilkoma osobami. Trwało to trochę czasu. A potem nagle padło pytanie:

-Kto się umie skradać?

-Ja, a bo co? – odparła bez namysłu Vela. Odpowiedział jej kapłan Jordego.

-Musimy wrócić do gospody. Ponoć jest tam Aidan..

-Wchodzę w to. Kiedy idziemy?

-Zaraz, przemknijmy się, kiedy krytycznie ranni pójda się poddać.

Vela poczuła lekkie zdenerwowanie. Wybrano ją, Eriego, kapłana Jordego i Kettila, który zaczął tłumaczyć im, na czym polega cały plan.

* * *

Callan obserwował jak wybrana grupa powoli się szykuje. Drzewa i ciemności zalegające na kontrforcie pozwalały im ukryć działania przed Qa. On sam był niedawno ranny, wciąż czuł niewygodne szwy ciągnące się na całych plecach. Zresztą, nawet gdyby chciał nie nadawał się do takiego wypadu. Bardziej pasował tutaj, gotów do obrony przed kolejnym szturmem.

Wypatrzył w tłumie swojego dobrego przyjaciela z Wergundii Eriego. Sympatycznego kapłana Jordego. Tryntyjczyka Kettila... i Velę. Coś się w nim ścisnęło. Była duża szansa że oni nie wrócą. Że zgina, próbując w ostatniej, rozpaczliwej próbie dostarczyć Aidana do fortu.

Mieli odejść zaraz za krytycznie rannymi. To też nie była łatwa decyzja, ale popierał ją. Wszyscy niezdolni do walki mieli opuścić fort. Nieważne kim by nie byli, nie było sensu by umierali nie mogąc nawet unieść oręża. Callan sam zabiegał by takie osoby jak Miori czy Bryn odeszły wolne.

* * *

A więc umrę wcześniej. Vela wiedziała, że szanse na powodzenie są niewielkie. Udała się zatem szybko do lazaretu, pożegnać Iselitha. A potem podeszła do Mathlana.

-Mathlanie...

-Tak?

-Możemy się już nie zobaczyć.

Natychmiast wstał. Uklęka przed nim, a on udzielił jej błogosławieństwa świtu. Wstała, podziękowała i wróciła do grupy. Likop rozdał im sztylety, tak dla niego charakterystyczne. Ostatni raz się pożegnała z jej...przyjaciółmi? Chyba mogła ich tak nazwać. Callan ją przytulił, jakby chciał dodać otuchy. Trochę ją to zdziwiło. Niemniej jednak po chwili wyrzuciła ten fakt z pamięci, teraz miała misję.

Bardzo powoli z lazaretu wychodzili krytycznie ranni – Bryn, Iselith, Mjori... Ciężko było na to patrzeć. Po nich od razu zeszła grupa wypadowa, ale schowali się przy ścianie fosy. Za nimi szły jeszcze inne ranne osoby. Na nieszczęście jeden z wojów Qawychylił się i ich zobaczył.

-Wy też?

-Tak, tak. – szybko odparł Kettil. Wdrapali się do góry i przystanęli na chwilę. Jeden z Qa przytrzymał Kettila. Ten dyskretnie dał im znak i Vela wystartowała. Biegła w dół na złamanie karku, nie wiedziała, czy ktoś jest za nią i co z resztą. Mieli się przekraść niezauważeni, lecz gdy Qa zaczął sprawdzać ich zamiary musieli w lot zmienić plan. Dobięła na dół pierwsza. Potem się pojawił kapłan Jordego, potem Eri. O dziwo, Kettilowiteż się udało. Ruszyli do Karczmy, szczęśliwi, że przeżyli przynajmniej początek. Że być może nawet uda im się wykonać zadanie.

Samboja na nich czekała. Za jej plecami stał Aidan, kuląc się. Jego matka zasłoniła go swoją postacią, patrząc na nich zawzięcie. Zionęło od niej złością. Wiedziała po co tutaj przybyli. Emocje na jej w twarzy, jej postawa. Wszystko to wyrażała jedną myśl – będę bronić swego dziecka.

Trwało to długo. I skończyło się źle.

Nieszczęsny cios zadał Eri, brat Ingi. Aidan przypadł do matki i zaczął rozdierając szlochać. Zaklęcia na niego nie działały. Najlepsze, co mogli zrobić, to zaciągnąć go na górę i liczyć na powodzenie. Całą drogę dzieciak mówił im, jak okropne życie mieli. I jacy źli są. Nie działało to pokrzepiająco.

Dotarli. Przybyli w chwili gdy trwał kolejny szturm. Udało się przejść przez fosę dzięki dziwacznej pomocy udzielonej im przez Eleriona, elfa zdrajcę. Rzucił się on na jednego z wartowników dając im możliwość zejścia do fosy. Vela przez ułamek sekundy, wspinając się odwróciła spojrzenie. Ujrzała jej przyjaciół, w obozowisku wroga, którzy się poddali. Ostatni raz w życiu.

A potem dotarli na dziedziniec fortu.

Aidan puścił się biegiem, znikając jej z oczu. Nie było czasu by za nim biec, musieli pomóc obrońcom. Rzucili się do walki, ona, Kettil, Eri i Aslaf. Wejście na plecy wroga pomogło szybko zakończyć szturm, lecz nie bez strat. Ona sama została ugodzona w brzuch włócznią. Samnijkczyk nie miał okazji jej dobić, gdyż był jednym z ostatnich żywych wrogów. Zanim mógł zareagować nadeszli obrońcy kontrfortu i ścięli włócznika. Jego oręż wypadł, zarówno z martwych dłoni jak i jej ciała.

Upadła na klęczki. Nie śpieszyła się. Paradoksalnie, mogła wreszcie odpocząć i czekać. Inga miała innych, bardziej rannych wojowników.

-Idźcie...za...tym...cholernym dzieciakiem, polazł na górę...-wydusiła z siebie w kierunku osób, które odparły atak i ich zobaczyły. Nie musiała mówić nic więcej. Ruszyli odnaleźć tak cenną dla nich osobę. Wyglądało na to że mieli trochę czasu, Qa nie rozpoczęli kolejnego szturmu.

W końcu Aidan się odnalazł. Kapłani, magowie i paladyni zaczęli się zbierać i schodzić do podziemnych komnat fortu. Odchodząc żegnali się, już na dobre. Nikt nie chciał przyznać, lecz widzieli się ostatni raz. W końcu i rosty paladyn Modwita, Callan dotarł przed wejście do kazamaty. Był jednym z ostatnich. Zamiast jednak schodzić, zbliżył się do niej.

-Co się stało?

-Samboja nie żyje, cholerny Aidan robił problemy...ale jest tu, zajmijcie się nim, nie nami...!
- stwierdziła elfka. Callan zmarszczył brwi.

-Inga! Chodź tu i jej pomóż!

Vela przebiegła wzrokiem po zebranych na dziedzińcu. Nie zostanie ich wiele. Przed schodami prowadzącymi w głąb fortu został Arden Stern oraz Aidan, najwyraźniej nie wiedzący co ze sobą zrobić. Inga zajmowała się Elerionem, leżącym koło nich. Callan wciąż klęczał obok niej. Z kazamaty poniosł się okrzyk.

-Callan! Chodź, potrzebujemy cię!

Widziała, że nie miał chęci tam iść. Opierał się przed tym.

-Idź, nie po to tracę zdrowie, żebyście go teraz nie wysłali! Idź.

W jego oczach zapłonął dziwny ogień.

-Nie zostawię cię.

Velę to zastanowiło, niemniej spojrzała na niego twardo.

-Idź! To ważniejsze ode mnie.

Callan spojrzał przez ramię, a potem znowu na nią. Wyglądał na pogodzonego z losem. Jednak zanim odszedł, nachylił się ku niej, tak że nikt inny poza nią nie usłyszał następnych słów.

-Wiesz, Vela, okłamałem cię. Ja cię wcale nie lubię, ja się w tobie zakochałem.

Po czym wstał i odszedł, nie patrząc się na nią. Zostawiając ją z szokiem wypisanym na twarzy.

* * *

Głupi, głupi, głupi. Na romanse ci się zebrało paladynie?

Wiedział że na niego patrzy, że ogląda jego plecy jak się oddala. Wziął pod ramię sterczącego dzieciaka Samboi. Opierał się, ale marny był to opór przeciw sile paladyna. Zaczął ciągnąć go na schody. Słyszał jak inni kapłani przedzierają się na dół. Wkroczył w ciemność.

-Gdzie jest moja mama? Co z nią zrobiliście?

Nie odpowiedział Aidanowi. Nie umiał, nie miał serca. Doskonale wiedział co się stało z Samboją. Wiedział co zrobił Eri. Kto by się spodziewał, że wojownik który przelał już wiele krwi w tej wojnie, będzie zbyt miękki by powiedzieć dziecku o śmierci matki. A jednak, nie zdobył się na to.

Wkroczył razem z nim do obszernej komnaty. W półmroku widział już sylwetki swoich towarzyszy. Wypatrzył Ulfa i Ludmira, którzy mieli wraz z nim być centralną częścią rytuału. Dostrzegł Calvariana, Aslafa, Juliana, Sterna... otaczali kręgiem centralny punkt komnaty. Dostrzegł nawet Ingrein. Przejęli od niego chłopaka. Ingrein zaczęła mówić. Że trafi do matki, że czeka na niego. Gdzieś z ciemności usłyszał szloch.

Czy aby na pewno robili coś dobrego? Czy aby na pewno wola bogów była prawidłowa?

Obruszył się gdy usłyszał szcęk broni dochodzący ze schodów które przed chwilą pokonał. Wiedzieli że nie zostało im dużo czasu. Lazaret opustoszał, większość z obrońców zgromadziła się

tutaj. Nieliczni pozostali na powierzchni kupowali im czas. Nawet nie chciał myśleć co się z nimi stanie. Stał na swoim miejscu, tworząc ostatni wierzchołek trójkąta otaczającego Aidana. Zaczęli recytację.

Czas zawirował. Nie wiedział ile to trwało. Aidan krzyczał, krzyczał w cierpieniu. Czuł że samymi słowami wyrządza mu cierpienie. Ale nie mógł przestać. Nie mógł zawieść tych którzy w tej chwili poświęcali się za nich. Kapłani podeszli. Oblali chłopaka żywym złotem, resztkami które się zostały tylko dlatego że się nim podzielili i każdy z nich nosił go trochę przy sobie.

Oślepiające światło. Upadł na kolana. Poczuł jak przygniata go moc. Uwolnili coś potężnego to było pewne. Wciąż słyszał wrzaski Aidana. Wrzaski i szloch, czyjs płacz przebiegał się nawet teraz.

* * *

Przypadkowy obserwator, który mógłby się pojawić na kontryforcie, zobaczyłby grupę około dwudziestu przedstawicieli różnych ras, którzy zaciekle bronili jednego wejścia do kazamaty przed ogromną liczbą wrogów. Zobaczyłby jak ci obrońcy padają ramię w ramię na ziemię, gdy próbują walczyć i przegrywają. Usłyszałby ich ostatnie wojownicze krzyki. Być może uroniłby nad nimi łzę, być może przekazał ich bohaterską walkę. Ale nikt nie mógł tego zobaczyć ni usłyszeć, bo nie było tam już nikogo.

* * *

Vela umierała, mając rozszarpany brzuch. Patrzyła gasnącymi oczami w niebo. Chciała zobaczyć gwiazdy ostatni raz, lecz ich już nie było. Jej ukochanych gwiazd, które wskazały jej drogę dziewiętnaście lat temu nie było na niebie. Świt oświetlał nieboskłon. Czy skoro ich nie ma, to czy może choć raz nie odkładać uczuć na bok...? Gdy Callan jej powiedział, że ją kocha, coś zaskoczyło w jej głowie, uczucie, że to właściwa osoba. Uczucia ranią, przekonała się o tym nieskończoną ilość razy. Ale może ten jeden raz...

Elfka nie poruszyła się już więcej.

* * *

Wszystko skończyło się tak nagle jak się zaczęło. Światła zniknęły, wrzaski też. Pozostała tylko ciemność. I cichy płacz. Nie mógł nawet skojarzyć czyj to płacz. On po prostu był. Naturalny, pasujący do chwili.

Otrząsnęli się. Powstali. Dzieło się dokonało. Wykonali wolę bogów. Wykonali zadanie. Co teraz?

Za późno zdali sobie sprawę, co oznacza taka cisza. Za późno wyciągnęli broń gdy do komnaty wparowali samnijscy siepacze. Callan był pierwszym który się napatoczył. Nie zdążył sięgnąć do rękojeści miecza, gdy poczuł zimną stal wbijającą się w ciało. Upadł na kolana. Dostrzegł jeszcze kątem oka, że stojący za nim również padają. Z ust uleciało ostatnie tchnienie, ostatnie słowa na ziemskim padole.

-Przyjmij moją duszę panie.

Następnie był nóż przyłożony do gardła. Zimny nóż, ogrzany wkrótce przez jego krew. Upadał do przodu, czując jak życie z niego ulatuje. Ostatnią myślą jaka zawitała do jego umysłu była Vela, którą zostawił tam na górze. Nie odnotował już faktu uderzenia o posadzkę komnaty. Na ziemi leżało pozbawione życia ciało paladyna.

* * *

Było ciemno. I zimno. I pusto. A jednocześnie pełno. Vela nie wiedziała, gdzie jest. Szła przed siebie, wcale nie idąc. Widziała wszystko i nic. Złe obrazy raz po raz wyskakiwały jej przed oczami, lecz dziwnie zamazane. Czuła coś na kształt ochrony dookoła siebie.

A potem nagle obraz się wyostrzył. Prowadziła ją postać w czarnej szacie. Wyprowadziła na świetlisty poranek w górach. Dookoła był las. I cisza. Czarna postać wskazała jej drogę. Stała tam kolejna istota, również pokazująca kierunek. I tak przez całą drogę.

Spacer po nieznanym miejscu podnosił na duchu. Normalnie Vela nie poszłaby drogą wskazaną przez jakies istoty, ale wyczuła, że tu powinna. Gdziekolwiek to "tu" było.

Na końcu czekała ją osada. Przypominała jej zabudowania z dzieciństwa. Wiedziała dokąd ma iść, wiedziała że ma iść do kwater, bo jej sąd odbędzie się później. Więc poszła. I zasnęła.

* * *

Najpierw zaczął słyszeć ciszę. Potem widział ciemność. Wyczuł nicość pod swoimi palcami, i wyczuł pustkę w swoich nozdrzach. Obraz się zmienił. Nie leżał w ciemnościach. Maszerował. Był sam, jeśli nie liczyć cienia idącego przed nim. Ale jego nie było, Callan był sam. Sam pośród mgieł. Gdzieś na lewo wydawało mu się że przebija słońce, ale to tylko złudzenie. Nieprawda. Słońca tu nie było. Nie było tu niczego poza drogą.

Znów zmiana. Teraz stał, przed bramą. Brama przypominała główną bramę Akwirgranu. Potężne zdobione wrota, osadzone w dwóch kamiennych wieżach. Otwierały się przed nim, jakby go oczekiwały. Cienie majaczyły na granicy postrzegania. Nie przejmował się nimi. Nie było ich tam. Wiedział gdzie iść. Jego dom już na niego czekał. Jego kolej przyjdzie niedługo. Na razie mógł tylko czekać.

* * *

Osoby, czy też dusze, które byłyby szczególnie czujne w sali biesiadnej, zauważyłyby, że Callan na kogoś wyraźnie czeka, lekko zdenerwowany. Jego sąd już się odbył. Wybaczone mu grzechy życia, jego pan ugościł go w swym domu. Spostrzegawczy zauważyłyby też, że chwilę później Vela przeszła sąd, niemniej strasznie nią on wstrząsnął. Każdy z obecnych odczuł skazanie Eriego na wieczne potępienie, zwłaszcza patrząc na Ingę. Veli również było go żal. Po chwili, część biesiadników wyszła na zewnątrz, napawać się włościami Modwita. Ten kto zwróciłby uwagę, wiedziałby że Vela była wśród nich. Zaś chwilę później również Callan powstał od stołu.

Gdyby któryś obserwator stanął na schodach przy halli i spojrzął na dwoje duchów stojących niedaleko stromeego wejścia do palisady, zobaczyłby, że oboje mają dość poważne miny. Które z czasem przerodziły się w drobne uśmiechy? A może ulgę na twarzy wojownika i radość na twarzy elfki? Może zauważyłby drobne zdenerwowanie obojga lub ostatnim gestem, przytuleniem się obojga? Albo ich zbliżenie ku sobie, gdy rozmawiali potem?

Ale nikt nie mógł tego zobaczyć. Wszyscy świętowali na placu bądź w domu Modwita, a dwójka dusz wybrała sobie skryte miejsce. Mogli ukrąść dla siebie kawałek wieczności, zanim wrócą na ziemię walczyć, w bezpiecznym miejscu, gdzie nie było gwiazd.